Vol. 6. No. 3. 1—14 lutego 1945 3d.

077.071/1945

ROBOTNIK POLSKI

W WIELKIEJ BRYTANJI

Wolność! Równość! Niepodległość!

Pismo Sekcji Zagranicznej P.P.S.

UCHWAŁA

Komitet Zagraniczny P.P.S. stwierdza, że zgodnie z deklaracją czwórporozumienia z dn. 15 sierpnia 1943, stał i stoi na stanowisku koalicji tych stronnictw, aż do pierwszych wyborów sejmowych.

Komitet Zagraniczny P.P.S. stwierdza, że po dymisji rządu byłego premiera Mikołajczyka, Stronnictwo Ludowe zostało zaproszone do wzięcia udziału w rządzie, jednak propozycję tę odrzuciło.

Pomimo to, premier Arciszewski oświadczał kilkakrotnie w swoich deklaracjach, że Rząd Polski powinien być oparty na porozumieniu czterech stronnictw i że obecność przedstawicieli Stronnictwa Ludowego w Rządzie jest wysoce pożądana dla wspólnej pracy dla dobra Rzeczypospolitej.

Komitet Zagraniczny P.P.S. stwierdza również, że prowadził w tej sprawie rozmowy przez swoich delegatów z przedstawicielami Stronnictwa Ludowego i przedłożył im swe wytyczne programowe. Niestety te usiłowania Komitetu Zagranicznego P.P.S., nie doprowadziły dotychczas do pozytywnego rezultatu.

Komitet Zagraniczny P.P.S. stoi nadal na stanowisku, że współpraca pomiędzy P.P.S. i Stronnictwem Ludowem jest jak najbardziej wskazana, to też oczekuje, że Stronnictwo Ludowe ze swojej strony przedłoży program na podstawie którego mogłoby wziąć udział w rządzie.

W tej sytuacji Komitet Zagraniczny P.P.S. stwierdza, zgodnie z poprzednio zajętym stanowiskiem, że rządowi tow. Arciszewskiego udziela pełnego poparcia.

Na horyzoncie

Siła zasady i zasada siły

"... it is in the interest of all mankind that the power of principle should be considered at least equally with the principle of power."

/"Tribune" z 2 lutego 1945 r./

W chwili, gdy numer ten oddajemy do druku, dwa fakty dominują nad całą rzeczywistością polskiej polityki. Po pierwsze, drobny tylko skrawek terytorium Polski w jej przedwojennych granicach pozostał jeszcze w rękach Niemców. Reszta znajduje się w rękach Czerwonej Armii, a w Warszawie zasiedli ludzie, którym Kreml pozwolił nazwać się "polskim rządem prowizorycznym". Po wtóre, w miejscu, którego nie znamy, i w czasie, którego tajemnicy nam nie powierzono, obraduje długo oczekiwana Konferencja Trzech. Los Polski jest jednym z najważniejszych zagadnień na porządku obrad tej Konferencji.

Nie widać jeszcze ani prawdziwego końca wojny, ani początku prawdziwego pokoju. Zaczęła się ta wojna z wiarą, że jest to wojna o poszanowanie umów międzynarodowych, o wolność narodów i jednostek, o demokrację i sprawiedliwość; z wiarą, że trwały pokój zbudować można tylko na fundamencie zasad, a nie na piasku tego, co nazywa się siłą: na ostrzach bagnetów, na lufach dział, na gąsienicach czołgów, na płatach bombowców, na śmierć i zniszczenie siejących rakietach. Sama siła tylko wojnę może rodzić — i dlatego to nie widać ani końca wojny, ani początku pokoju.

Polska, która jako państwo niepodległe odrodziła się w XX wieku, nie jest mocarstwem. Nasz byt i nasz los zależy od zwycięstwa zasad sprawiedliwości i demokracji w życiu międzynarodowym i w stosunkach wewnętrznych. Nasz byt i nasz los zależy także od trwałości pokoju, bo nie stać nas na nowy potworny upust krwi i ogrom zniszczeń, jakie każda wojna nam niesie. Ale w stuleciu, w którym wynaleziono nad-fortece latające i rakiety, niema takiego mocarstwa, którego los byłby zależny tylko od jego własnej siły. Ani Moskwie, ani Waszyngtonowi nie życzymy losu Londynu; Londynowi nie życzymy losu Warszawy.

Nasz bratni socjalistyczny organ "Tribune", komentując w numerze z 2 lutego zbliżającą się Konferencję Trzech, postawi tezę, którą zacytowaliśmy na wstępie w angielskim oryginale, a która w polskim tłumaczeniu brzmi tak: "... *leży w interesie całej ludzkości, by siła zasady traktowana była przynajmniej na równi z zasadą siły*". Uznanie lub odrzucenie tej tezy właśnie w chwili obecnej może stać się czynnikiem decydującym o dalszym rozwoju wydarzeń. Polska dała i daje ciągle dowody, że w imię najwyższego celu, jakim jest uratowanie bytu narodu i jego prawa do swobodnego kształtowania demokratycznych urządzeń, szczęśliwszej przyszłości i szerszej kultury — gotowa jest do wielu, bardzo daleko sięgających, ale szczerze przyjętych, kompromisów. Polska niczego innego nie pragnie, jak — powiedzmy otwarcie, choć brzmi to niewątpliwie gorzko — kompromisu między zasadą siły, nie przez nas reprezentowaną, a siłą zasady, stanowiącą wszystko, co mamy i w co wierzymy. Pragniemy tego jako Polacy i jako socjaliści; pragniemy tego w interesie naszego narodu i w interesie całej ludzkości.

Pragnąc kompromisu, jako Polacy i jako socjaliści, odrzucamy — jako Polacy i jako socjaliści — bezwarunkowe poddanie. Robimy to z całą świadomością, nie jako romantycy, ale jako realiści. Naród nie może sobie pozwolić na to, by raczej zginąć, niż pójść na kompromis. Ale absurdem jest domaganie się od kogokolwiek, a tym bardziej od narodu, by — nie zawiniwszy — sam prosił o wyrok śmierci na siebie. Historia wprawdzie dała nie tak wiele lat temu przykłady podobnej postawy — ale działo się to daleko na wschód od Warszawy, poza zasięgiem tej kultury, z którą mimo szczerego dążenia do jak najbliższych i najserdeczniejszych stosunków z Rosją, nie potrafimy i nie chcemy zrywać więzów.

Tylko Kraj sam, który najlepiej zważy i porówna koszt obrony zasad z kosztem dyktatury nagiej siły, będzie mógł dać odpowiedź, jeśli Konferencja Trzech zaproponuje Polsce coś, co będzie naprawdę jeszcze kompromisem. Ale niech nikt nie oczekuje od żadnego z Polaków, a tym bardziej od socjalistów — właśnie od tych socjalistów, którzy tam w Kraju nie uronili ani jednej z twardych zasad socjalistycznego realizmu — że zechcą poprostu podpisać wyrok śmierci na własny naród. Niech nas nikt nie wpycha w sytuację bez wyjścia. Nikomu się to nie opłaci — a najmniej Rosji, z którą chcemy przyjaźni, z którą chcemy współżycia, ale z ręki której nie chcemy dobrowolnie przyjmować śmierci.

Musimy wierzyć w rozsądek. Wszak tylekroć do naszego rozsądku się odwoływano. I dlatego oczekujemy, że nie tylko Roosevelt, ale także Churchill, nie tylko Churchill, ale także Stalin, potrafią znaleźć równowagę między siłą zasad i zasadą siły.

Światowy Kongres Związków Zawodowych w Londynie

Dnia 6-go lutego otwarty został w Londynie, oczekiwany z ogromnym zainteresowaniem, Światowy Kongres Związków Zawodowych, zwołany z inicjatywy Brytyjskiego Kongresu Związków Zawodowych /T.U.C./.

W konferencji uczestniczy 240 delegatów, reprezentujących 45 państw, w tym 38 aljanckich i 7 neutralnych. Reprezentowane są także liczne międzynarodowe organizacje robotnicze. Brytyjski T.U.C. zasadniczo zapraszał wszystkie istniejące wielkie organizacje zawodowe z każdego kraju. W ten sposób na jednej konferencji znaleźli się przedstawiciele socjalistycznych i demokratycznych organizacji robotniczych obok komunistyczno-totalistycznych, związki katolickie obok klasowych, aljanckie obok neutralnych.

Najpoważniejsza amerykańska organizacja robotnicza "American Federation of Labor" odmówiła udziału w kongresie, motywując to tym, że zarówno delegaci sowieccy, jak i Ameryki Łacińskiej nie reprezentują wolnych związków zawodowych, lecz aparat rządowy swych krajów. Górnicy amerykańscy, posiadający, jak wiadomo, oddzielną organizację nie przyjęli także zaproszenia na kongres z wyżej wymienionych względów.

Charakter Konferencji — jak ustalono zgóry—jest badawczy i doradczy. Wszystkie uchwały, wnioski i rezolucje nie wiążą żadnej organizacji. Deczyje muszą być powzięte jednogłośnie. Głosowanie większości nie obowiązuje mniejszości.

Pięć punktów porządku dziennego

Porządek dzienny, przygotowany i starannie rozpatrzony przez konferencję przygotowawczą, zawiera 5 punktów:

1/ *Wzmożenie wysiłku wojennego Aliantów.*

2/ *Stosunek Zw. Zaw. do organizacji powojennego świata, oraz światowego pokoju. Ten punkt zawiera także kwestję odszkodowań wojennych, traktowania Niemiec powojennych, okupacji terytoriów wrogich, udziału przedstawicieli Zw. Zaw. w konferencji pokojowej i przygotowawczych komisjach, wreszcie sprawy pomocy i odbudowy powojennej.*

5/ *Podstawy utworzenia Światowej Federacji Zw. Zaw.*

4/ *Natychmiastowe żądania Związków Zawod. na okres powojenny.*

5/ *Problemy powojennej rekonstrukcji i podstawy zabezpieczenia społecznego i pełnego zatrudnienia.*

Punkty te zawierają cały szereg spornych spraw i Kongres będzie miał ciężkie zadanie, aby uzgodnić jednolite stanowisko.

Polityka sowieckich delegatów

Punkt pierwszy nie wywołał żadnych zastrzeżeń. Wszyscy są za wzmożeniem wysiłku wojennego Aliantów.

Ale już punkt drugi — stawia na porządku dziennym — cały szereg spornych problemów. Teoretycznie Zw. Sowiecki broni interesów proletarjatu całego świata, ale gdy dochodzi do poszczególnych problemów, okazuje się, że delegacje sowieckie są zdania, że *jedynie rozwiązanie korzystne dla Związku Sowieckiego odpowiada interesom klasy robotniczej całego świata.* Wynik Kongresu w tych wypadkach zależeć będzie prawdopodobnie od tego, czy delegaci sowieccy potrafią uzgodnić swoje stanowisko z delegacjami brytyjską i amerykańską, ale nawet i podobna zgoda nie gwarantuje jeszcze pozytywnego wyniku.

Dwie Międzynarodówki Zawodowe?

Jednym z najważniejszych punktów jest punkt 3-ci w sprawie utworzenia Światowej Federacji Zw. Zaw. Do istniejącej Międzynarodówki Zaw. nie należą ani związki sowieckie, ani związki Ameryki Łacińskiej. Należy zato do niej potężny American Federation of Labor. Sowiety zgóry zapowiedziały, że do obecnej Międzynarodówki nie przystąpią. Ale co będzie, jeżeli obecny kongres utworzy Światową Federację Zw. Zaw., a obecna Międzynarodówka, popierana przez szereg potężnych organizacji nie zechce się rozwiązać. Wtedy jedynym rezultatem kongresu będzie nie zjednoczenie, ale rozbicie Związków Zawodowych na dwie Międzynarodówki, z których obecna będzie uważała, że grupuje wszystkie związki wolne, podczas gdy nowa będzie oskarżana, że obejmuje związki tworzone przez aparat rządowy niektórych państw o charakterze totalnym.

Na pierwszym posiedzeniu wybrano 3. prezydentów Kongresu: *G Isaacksa* /W. Brytanja/, *M. W. Kuznietzowa* /Rosja/ i *R. Y. Thomasa* /Ameryka/. Wiceprezydentami zostali: *L. Toledano* /Meksyk/, *L. Saillant* /Francja/ i *Chu-Hsun-Fan* /Chiny/. Językami urzędowymi konferencji są: angielski, francuski, rosyjski i hiszpański.

POLSKĘ NA KONGRESIE REPREZENTUJE TOW. JAN STANCZYK

Delegaci lubelscy nie zostali dopuszczeni na Kongres.

Uchwała Reprezentacji Zw. Zaw.

Reprezentacja Zagraniczna Klasowych Związków Zawodowych Polski w Londynie stwierdza:

Zarząd Sekcji Morskiej Zw. Zaw. Transp. nie był uprawniony do podejmowania uchwał o uznaniu Komitetu Lubelskiego za rząd polski i o przyłączeniu Związku Marynarzy do tak zwanej Rady Związków Zawodowych w Lublinie.

Taka uchwała, jaką podjął zarząd o uznaniu rządu lubelskiego nie może być wogóle uchwalona ani przez zarząd, ani nawet przez zjazd jakiegokolwiek związku. O tym bowiem, jaki naród pragnie mieć rząd, może decydować tylko naród, w drodze wyborów, w warunkach wolnych od jakiegokolwiek nacisku zewnętrznego i wewnętrznego.

Co się tyczy uchwały o przyłączeniu Sekcji Morskiej do t.zw. Rady Związków w Lublinie, to uchwałę taką mógłby podjąć jedynie zjazd Delegatów Związku Transportowców, zwołany zgodnie z wymogami statutu.

Zarząd Sekcji Morskiej podejmując powyższe uchwały, popełnił grubą samowolę i nadużył zaufania członków Związku, którzy dali temu już wyraz w protestach i uchwałach, podkreślając, że za jedyny legalny rząd polski uznają rząd przebywający w Londynie i że nie chcą mieć nic wspólnego ani Komitetem Lubelskim ani z Radą Związków w Lublinie.

Reprezentacja Zagraniczna Klasowych Związków Zawodowych Polski w Londynie, stwierdzając bezprawne działanie zarządu Sekcji Morskiej Z.Z.T. zwraca się do członków Związku o wyłonienie z pośród członków Związku komisji organizacyjnej, któraby objęła czasowe kierownictwo Związku i przygotowała zwołanie zjazdu Delegatów Marynarzy w jaknajkrótszym czasie, celem wybrania takiego Zarządu, który będzie respektował postanowienia statutu Związku, uchwały zjazdu Delegatów Marynarzy i nie będzie nadużywał zaufania członków jak to czynił dotychczasowy Zarząd.

REPREZENTACJA ZAGRAN. KLASOWYCH ZW. ZAW POLSKI W LONDYNIE.

JAMES WALKER

Polski Ruch Podziemny

nie uzna Komitetu Lubelskiego

W ostatnim napisanym przez siebie artykule p.t. "Scena polityczna", tragicznie zmarły nasz przyjaciel tow. James Walker wypowiedział się w sprawie polskiej. Czytelnicy nasi poniżej znajdą przekład odnośnego ustępu z miesięcznika *"Man and Metal"*, organu Konfederacji Robotników Przemysłu Żelaznego i Stalowego:

"Jak się zdaje, rozwiązanie problem polskiego staje się z każdym dniem coraz to trudniejsze, a oświadczenie Komitetu lubelskiego że przekształcił się on w rząd tymczasowy, nie przybliży rozwiązania ani trochę. Na podstawie posiadanych informacji, jesteśmy przekonani że polski ruch podziemny — który był i jest wśród wszystkich krajów okupowanych najsilniejszym ruchem podziemnym — nie uzna Komitetu lubelskiego za rząd tymczasowy Polski. Ruch ten nadal uznaje rząd londyński i będzie to czynił nadal, choćby nawet niektórzy aljanci uznali Komitet lubelski i przestali uznawać rząd londyński.

Co się tyczy kwestji granic z Rosją, sądzimy, że ... Polska będzie musiała poczynić Rosji ustępstwa na kresach wschodnich i dostać odszkodowanie za utratę swego terytorjum, w drodze wcielenia części Prus Wschodnich i Gdańska do Rzeczypospolitej Polskiej. Zagadnienie niemieckich mieszkańców przejętego terytorjum może być rozwiązane przez migrację. Nowe granice Polski winny być zagwarantowane przez Rosję, Wielką Brytanję i Amerykę. Jesteśmy przeświadczeni, że jeżeli ten ostatni punkt zostanie załatwiony i ustalony, to rząd londyński będzie mógł dojść do porozumienia z Rosją. Do tej pory Ameryka nie daje żadnych gwarancji: wszystko, co jest ona gotowa ofiarować, to dobre rady, lecz obawiamy się bardzo że rady te nie zostaną przyjęte dopóki nie będą dane gwarancje, iż nowe granice będą miały poparcie trzech mocarstw".

BIBLIOTEKA POLSKA POSK LONDYN

PROF. MANFRED KRIDL

Psychologja sowietystów

Sowietystami nazywam tych komunistów, którzy wyrzekli się socjalistycznych ideałów demokratycznych, a poszli w służbę totalizmu sowieckiego, monodoktryny, monopartji i dyktatury jednostki, którzy nie uznają wolności myśli i swobody twórczości, natomiast popierają terror polityczny, umysłowy i moralny, wynikający z pogardy dla człowieka i jego indywidualności, z niewiary w ludzkość i jej swobodny rozwój. Są to wszystko cechy obce i dalekie doktrynie socjalistycznej, która jest wszakże matką komunizmu, obce także tym komunistom, którzy nie zapomnieli jeszcze zupełnie o swej matce — stanowią zaś chorobliwą narośl na socjaliźmie, wypaczenie jego zasadniczej postawy duchowej.

Pojęcie sowietyzmu obejmuje jednak nietylko komunistów, a właściwie pseudo-komunistów tego typu. Hołdują mu również w mniejszym lub większym zakresie, z takiemi lub innemi odcieniami i naogół z mniejszym fanatyzmem, ludzie, mianujący się socjalistami, liberałami, postępowcami czy demokratami. Ta odmiana sowietyzmu płynie z różnych źródeł: z nieznajomości istotnych stosunków w Rosji, z czego rodzi się bezmyślne uwielbienie jej "potęgi", z oszołomienia jej rozmiarami i bogactwem, z bezkrytycznego podziwu dla tego jedynego w swoim rodzaju eksperymentu społecznego, jakim jest pierwsze na świecie "państwo socjalistyczne" — czasem także z złudnej nadziei robienia z Rosją wspaniałych interesów po wojnie oraz z innych praktycznych powodów.

Interesująca jest rzeczą, że obie kategorje posiadają pewne cechy wspólne, charakterystyczne zarówno dla płatnego agenta sowieckiego, jak i intelektualisty, a nawet uczonego, który w innych dziedzinach stara się zachować niezależność myśli i sądu.

Wśród współpracowników wydanej niedawno książki zbiorowej p.t. "*W Przededniu*" znajdujemy właśnie kilku takich uczonych mężów /Oskar Lange, Ignacy Złotowski, Bohdan Zawadzki/. Poziom ich artykułów jest tego rodzaju, że nie wartoby się niemi zajmować, gdyby nie to, że "sowietyzm" występuje w nich w postaci idealnie czystej i reprezentatywnej, może więc stanowić wzór niejako myślenia i rozumowania sowieckiego oraz metod, niespotykanych do niedawna u ludzi, zajmujących się nauką. Dlatego jest to i ważny symptom i interesujące zagadnienie psychologiczno-społeczne. Z tego więc punktu widzenia, a nie dla polemiki, która byłaby bezcelowa, pragnę poświęcić tej publikacji kilka słów.

Naprzód parę soczystych przykładów: Prof. Złotowski wywodzi:

" . . . A gdy już przeszło pół Polski było zajęte /we wrześniu 1939/, armja czerwona wkroczyła na tereny ziem wschodnich, uniemożliwiając Niemcom zagarnięcie całej Polski. Lecz oto nasi domorośli reakcjoniści wymyślili dla zmylenia opinji publicznej słynną teorję "noża w plecy", dowodząc, że jakoby istniała tajemna umowa sowiecko-niemiecka, ustalająca zgóry warunki nowego rozbioru Polski. W rzeczywistości zaś zajęcie przez Rosję wschodniej części Polski przedwrześniowej poza tem, że uratowało życie setkom tysięcy obywateli polskich /tak!/, było jedną z gorzkich pigułek, które Hitler musiał przełknąć, by nie sprowokować wówczas Związku sowieckiego do akcji wojennej przeciwko Niemcom" /str. 21/.

Sądzę, że nie potrzeba dokładniejszej analizy tego wyjątku, aby go uznać za arcydzieło nowej metody rozumowania i przedstawiania faktów. Zwłaszcza owo "uratowanie setek tysięcy obywateli polskich" jest chwytem wprost genjalnym; za który autor powinien dostać order conajmniej Suworowa albo Murawjewa.

Prof. Zawadzki oświadcza, że nie chce oszukiwać ani siebie, ani innych i w tej chwalebnej intencji pisze, m.i. co następuje:

"Naogół . . . wśród Ukraiinców były tylko dwie orjentacje. Nieliczni przedstawiciele mieszczaństwa ukraińskiego, popi i popowicze, oraz najbogatsi chłopi, pragnęli Ukrainy niepodległej /pod opieką Niemiec!/, ażeby oni właśnie mogli sprawować władzę i posiadać majątki. Olbrzymie masy chłopstwa ukraińskiego pragnęły natomiast ziemi, a nie nowych dziedziców, i wierzyły /tak!/, że mogą to osiągnąć tylko /tak!/ przez połączenie się z resztą narodu ukrainskiego w Sowieckiej Republice Ukrainskiej. Białorusini nawet nie mieli żadnej grupy niepodległościowej /tak!/, a tylko niemal jednomyślnie /dobrze że przynajmniej: "niemal"/ domagali się zjednoczenia z Białorusią Sowiecką. Są jednak Polacy, którzy przyznają wprawdzie Ukraińcom i Białorusinom prawo odłączenia się od Polski, ale tylko pod warunkiem, że powstaną niepodległe, "suwerenne" państwa białorusinskie i ukraińskie. Na to odpowiedź jest prosta: zostawcie tę troskę Ukraińcom i Białorusinom, pozwólcie im decydować o o swym losie, nawet jeśli wolą związek z innemi republikami sowieckiemi od "suwerenności". Szczerze demokratyczne uznanie praw Białorusinów i Ukraińców nie może być obwarowane żadnemi zastrzeżeniami tego rodzaju" /str. 67-68/.

Tu mamy próbkę równie genjalnego ujęcia spraw narodowościowych i międzynarodowych. Proszę tylko zważyć w jak subtelny i wysoce demokratyczny sposób scharakteryzowany jest ruch narodowy ukraiński /popi i popowicze/, jak dowcipnie przemycony jest passus o tem, że tylko w Sowietach masy ukrainskie mogą nasycić swoje pragnienie ziemi, na jakie wyżymy moralne wznosi się autor, kiedy wzywa, aby nie mieszać się do spraw Ukraińców i Białorusinów, ale pozwolić im samym decydować o swoim losie /pod rządami sowieckiemi!/. Bo p. Zawadzki, jest nietylko wybitnym politykiem, ale i głębokim moralistą. Na str. 73 woła z emfazą:

"Jest rzeczą straszną, że nawet osoby kryształowo uczciwe w stosunkach osobistych nie rozumieją, że takie same zasady moralne, jak między jednostkami, muszą też obowiązywać między narodami".

Tak, to istotnie straszna rzecz. Ale jeszcze straszniejsze jest, że te zasady moralne stosowane są jak dotychczas jedynie tylko przez kryształowo uczciwych kierowników polityki zagranicznej sowieckiej.

Program p. Zawadzkiego w sprawie granic wschodnich jest zarówno prosty, jak i moralnie wzniosły. Oto zaopatruje swój artykuł w motto z Mickiewicza: **"O ile polepszycie i powiększycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice"**, dając tem do zrozumienia, że Polacy powinni przedewszystkiem dbać o swoje dusze, a troskę o granice pozostawić swemu możnemu sąsiadowi. Trudno, zaiste, o głębsze zrozumienie dla ducha Mickiewiczowskiego i przystosowanie go do zadań chwili obecnej. Możemy być pewni, że gdyby Mickiewicz dzisiaj żył, patrzyłby z pogardą na dążenia popów i popowiczów ukraińskich do niepodległości i z rozkoszą oddałby kraj lat dziecinnych pod władzę Sowietów. Ten "mieckiewiczowski" program odnosi się w koncepcji prof. Zawadzkiego jednak tylko do granic wschodnich /dowodzi on wymownie, **że pozbycie się Kresów jest dla Polski "korzyścią a nie stratą", a posiadanie ich było zawsze "plamą na dobrem imieniu Polski"**/ — na Zachodzie natomiast możemy sobie użyć, ile się da, tj. na ile pozwoli Rosja.

Podobnych wyjątków z tej książki zbiorowej możnaby zacytować znacznie więcej. Nie są one bynajmniej sztucznie wyrwane z kontekstów dla przekręcenia ich sensu. Przeciwnie, doskonale harmonizują z całością. Oto n.p. prof. Lange na 3 stronicach nagromadził tyle nadzwyczajności i tyle nowych, nieznanych dotąd faktów, że tylko brak miejsca wstrzymuje nas od przytoczenia jego artykułu w całości. Dla wiadomości jednak ignorantów przytaczamy niektóre przynajmniej złote myśli: **przedwojenny rząd polski "wraz z Niemcami i Japonją knuł spiski przeciw bezpieczeństwu Zwiazku Sowieckiego"** — na emigracji **"następują intrygi przeciwko całości Republiki Czechosłowackiej . . . nawet rokowania z sprzymierzonym z Niemcami rządem słowackich quislingów, zerkanie okiem w kierunku sojusznika Niemiec, Węgier, w kierunku przyjaciół "osi" w Vichy i osadzonego przez Hitlera u władzy gen. Franco"** — **"równocześnie oficjalna polityka polska stara się podciąć wśród Polonji amerykańskiej zaufanie do Prezydenta Roosevelta i do postępowych sił amerykańskich . . . "** Na szczęście jednak honor Polski został uratowany. W przepięknem, poetycznem zakończeniu artykułu autor pisze o rozmaitych "nowych głosach": to głos dywizyj polskich w Z.S.R.R. — to głos Związku Patrjotów polskich, "który wysoko dzierży sztandar udziału Polski w obozie koalicji antyfaszystowskiej" — to wreszcie najdonośniejszy głos powstałej w Polsce Krajowej Rady Narodowej . . . Inny współpracownik książki, p. Penzik, głęboki i bezstronny umysł prawniczy, udowadnia nielegalność Konstytucji r. 1935, a tem samem rządu polskiego w Londynie, a równocześnie uznaje nie ulegającą żadnym zastrzeżeniom prawniczym legalność Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który

"na podstawie powziąć się mającej /tak!/ uchwały Krajowej Rady Narodowej ogłosi się w Warszawie Prowizorycznym Rządem i zaprowadzi ład i porządek w Kraju" /str. 35/.

Charakterystyczne jest jednak nietylko to, co ci uczeni mówią, ale i to, co p r z e m i l c z a j ą. Takie grobowe milczenie panuje w całej książce o Rosji sowieckiej i niektórych jej "posunięciach" w sprawie polskiej i innych. Jeżeli są jakie wzmianki o Rosji, to tylko krótkie wybuchy czułości, tkliwości, uznania lub uwielbienia. Są liryczne zwroty o cierpieniach, ofiarach i klęskach, jakie spadły na naród polski, ale przyczyną tego są — zgodnie z prawdą historyczną — tylko i wyłącznie Niemcy. O jakimkolwiek udziale Rosji w zadawaniu tych cierpień niema mowy. Jest to stanowisko zupełnie konsekwentne. Jeżeli się Rosję utożsamia z walczącą demokracją, a jej cele wojenne z celami narodów zjednoczonych, jeżeli się wierzy święcie, że ona to jest najbardziej zasłużonym heroldem wolności i demokracji, to naturalnie wszelka choćby najlżejsza krytyka jej polityki wewnętrznej i zagranicznej, choćby najmniejsza wątpliwość co do czytości i szlachetności jej postępowania jest zbrodnią z punktu widzenia solidarności aljantów, atakiem na Anglję i Amerykę, robotą na korzyść Hitlera. Uczeni mężowie zbyt przejęci są odpowiedzialnością za losy świata, żeby mogli pozwolić sobie na wytykanie Rosji czegokolwiek, a szczególniej tak drobnych rzeczy, jak los Polski, Finlandji, krajów bałtyckich, całej Europy Wschodniej i Środkowej . . .

Pozostaje do rozwiązania zagadka psychologiczna: jak mogą ludzie kulturalni i pracujący naukowo, być równocześnie autorami takich elaboratów publicystycznych? Co ich może skłaniać do takich krętactw, kłamstw, fałszów, takiej obłudy, ślepej zaciekłości, nieuczciwości umysłowej i moralnej i bezkrytyczności? Gdzie są ich uczucia, już nie polskie, ale poprostu ludzkie, gdzie oczy, które przecież nie mogą nie widzieć, gdzie władze rozumu, które nie mogą przecież przestać funkcjonować na rozkaz dany z Moskwy? Zazwyczaj tylko jakaś wielka, ślepa namiętność może tak przyćmiewać umysły, tak wykrzywiać reakcje uczuciowe i moralne, jeżeli wyłączymy oportunizm, wyrachowanie lub zwyczajne zaprzedanie się. Taką namiętnością może być albo zapamiętała miłość albo zapamiętała nienawiść, może być nieprzytomne doktrynerstwo albo obłąkany szowinizm, mogą być wreszcie jakieś podświadome kompleksy, trudne do ujawnienia. Przypisywanie sowietystom, o których mowa, bardzo gorącego uczuciowego stosunku do Rosji sowieckiej byłoby, jak sądzę, naiwne: miłość pożąda połączenia się z swoim przedmiotem; tymczasem oni nietylko do Rosji, ale nawet do Polski "przyjaznej Sowietom" nie wybierają się wcale. Czują się doskonale w kapitalistycznej Ameryce, a tylko swoim rodakom radzą "polepszanie i powiększanie dusz" pod ojcowskim kierunkiem specjalisty w tej dziedzinie — rządu sowieckiego. A więc może nie ukochanie Rosji w jej obecnym kształcie, ale idei, którą Rosja reprezentuje, a która urzeczywistni się w całej pełni dopiero w przyszłości? Niewątpliwie są między sowietystami tacy, którzy tą mglistą, niewiadomą przyszłością usprawiedliwiają wszystko, co się działo i dzieje w Sowietach. Wątpię jednak, czy tę diagnozę możnaby postawić w stosunku do uczonych współpracowników "*W Przededniu*" i czy wogóle czynnik emocjonalny odgrywa dużą rolę w ich stanowisku. Są na to zbyt trzeźwi i zbyt praktyczni. Nie wybiegają wcale tak daleko w przyszłość, przeciwnie tkwią po uszy w teraźniejszości i liczą się z nią aż nadto. Co zaś do nienawiści, pobrzmiewającej w ich artykułach, to jest ona zbyt "kierowana", zbyt zależna od oficjalnej propagandy sowieckiej, aby mogła być szczera i wyrażała osobiste przeżycia. Nienawidzą faszyzmu, ale tylko w jego postaci niemieckiej i włoskiej — elementy faszyzmu, zawarte w totalizmie sowieckim, nie są wcale brane w rachubę. Kryterjum faszyzmu stanowi w opinji tych panów, wśród których znajduje się profesor nauk społecznych, stosunek do Rosji sowieckiej, nietylko wrogi lub niechętny, ale także objektywny, trzeźwy i krytyczny. Tym sposobem sui generis nienawiścią obejmuje się conajmniej 99 procent całej ludzkości, deklamując równocześnie o walce dla jej uszczęśliwienia. Oto do jakich potwornych paradoksów doprowadza sowietyzm.

Pozostaje jedna, najbardziej prawdopodobna diagnoza. Jeżeli kieruje tymi ludźmi jaka namiętność, jest to namiętność zimna, mózgowa, można rzec wyrachowana, bezlitosna i okrutna wobec wszystkiego, co jej stoi na drodze, nawet wobec pokrewnych ideologij, pozbawiona pierwiastków twórczych i humanitarnych. Jest nią zaciekłe do nieprzytomności d o k t r y n e r s t w o, ślepa, niewolnicza uległość już nawet nie doktrynie samej, ale tym, którzy są oficjalnymi jej reprezentantami. Brak tu wszelkiego osobistego, indywidualnego, twórczego stosunku do doktryny. Człowiek nie jest jej swobodnym interpretatorem, ale przemienia się w niewolnika, w automat, maszynę, zdolną do produkowania tylko "standartowych" wyrobów. Z tem łączy się specjalnego gatunku szowinizm, który pod względem tępoty i ślepoty nie ustępuje bynajmniej szowinizmowi nacjonalistycznemu. Nie jest też wykluczony, oczywiście, zwyczajny oportunizm, "realizm" i względy praktyczne.

Wobec takiego stanu rzeczy nie dziwota, że tyle jest w tej księdze tonów fałszywych. Fałszywie brzmią roztkliwiania się nad cierpieniami narodu polskiego, fałszywie słowa uznania, wyrażane "bohaterskiemu żołnierzowi polskiemu", fałszywie nawet oburzenia na okrucieństwa niemieckie. Tak samo jest z wszelką krytyką i próbami projektów pozytywnych. Uczciwe prawo do krytyki ma tylko ten, kto t e s a m e kryterja stosuje do zjawisk analogicznych. Jeżeli się ma inne kryterja dla Rosji, a inne dla Polski to nawet mniej lub więcej słuszne zarzuty przeciw rządom polskim przed—i powojennym stają się bezwartościowe. Niema się prawa mówić o imperjalizmie polskim, skoro się milczy o imperjalizmie rosyjskim, niema się prawa mówić z świętym oburzeniem o ucisku mniejszości narodowych w Polsce, jeżeli się równocześnie z zachwytem aprobuje ucisk całej ludności w Rosji /z wyjątkiem biurokracji/ — niema się prawa wygłaszać do Polaków kazań moralnych, skoro się samemu jest wyznawcą polityki, bardzo mało mającej wspólnego z etyką, wyznawaną przez cały świat kulturalny — niema się prawa do zarzucania polskiej statystyce fałszów, jeżeli się samemu żongluje w sposób nieuczciwy cyframi — niema się też, oczywiście, prawa do miana demokraty w znaczeniu zachodnio-europejskiem, ani do miana uczciwego przeciwnika politycznego.

Wybraliśmy dla charakterystyki sowietyzmu tych trzech mężów, ponieważ zdaje się nam, że stanowią oni przykład bardzo typowy, a także bardzo przygnębiający ze względu na ich stanowiska naukowe. Nie wynika z tego, żeby charakterystyka powyższa odnosiła się do wszystkich bez wyjątku sowietystów. Studjum psychologiczne o tym fenomenie, musiałoby objąć znacznie szerszy materjał, a wtedy wykryłoby się zapewne i inne typy, o których zresztą wspominaliśmy na początku i w ciągu artykułu. /możnaby tu dodać jeszcze takich, których w objęcia sowietyzmu gna rozpacz i ostateczne zwątpienie w cywilizację zachodnią/. Nawet i tych trzech trzebaby bardziej zindywidualizować, nie ograniczając się tylko do cech wspólnych i do wypowiedzeń drukowanych. Są wśród współpracowników księgi wyraźni komuniści /nie przyznający się do tego ze względów taktycznych/, są i sowietyści innego kalibru. Jest cudoziemiec, łaskawie "zainteresowany" w sprawach polskich, są też "krajowi cudzoziemcy", że użyjemy wyrażenia Żeromskiego nie w znaczeniu rasowem, ale duchowem. Ale w rezultacie wszystko wychodzi na jedno. Jedyne prawdziwe słowa w tej publikacji to słowa poetów, jakże dalekie od tonu w niej panującego. Innym jej współpracownikom polecam uważne przeczytanie następujących wierszy Szenwalda:

Jest niespożyta siła w polskim ludzie,
Wiecznie dopełniająca się z podziemnych głębin,
Wiecznie odradzająca się liśćmi zieleni —
Siła, którą przytłumić można, zdławić, stłamsić,
Wbić w miazgę, storturować — nigdy unicestwić.
Zagoń ją w k a t o r ż n i c z y l o c h — ona się wydrze
Na słońce! . . .

Stary i nowy mąż stanu—i naród

Tygodnik "The New Statesman and Nation" — po polsku "Nowy mąż stanu i naród" — czytywany jest w pewnych kołach lewicowej inteligencji brytyjskiej i — nie łudźmy się — jest wyrazem ich opinii. Dlatego to, co tygodnik ten napisze, nie jest nieważne, choć aż nadto często bywa . . . nieco ekscentryczne.

Ekscentryczność taka ma nieraz swoje zalety. Kiedy nam ktoś proponuje "Wolną, silną, niepodległą Polskę" od Bugu do Odry i ze stolicą w Moskwie, to niezorientowanemu trudno się połapać, że chodzi tu o wolność na zachód od Odry, siłę na wschód od Bugu, a niepodległość zgoła na księżycu. Ale kiedy nowy mąż stanu powoła się na pewnego starego męża stanu, by niedwuznacznie wymazać z mapy naród — to wtedy czarne staje się czarne, białe staje się białe i nikt nie może mieć najmniejszych wątpliwości, gdzie car, gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Bierut z Osóbką, a gdzie Kingsley Martin.

Otóż taka ekscentryczność wydarzyła się niedawno komentatorowi tygodnika, którego redaktorem jest właśnie Kingsley Martin. Komentator ten — mąż stanu nowej szkoły — powołuje się na Balfoura, męża stanu starej szkoły, który w r. 1916 w takich oto słowach wypowiedział się przeciw odbudowie Polski:

" . . . *Rozwiązaniem kwestii polskiej, które odpowiadałoby najlepiej naszym interesom, byłoby stworzenie Polski, obdarzonej wprawdzie szeroką autonomią, ale pozostającą integralną częścią Imperium Rosyjskiego . . .*"

Balfour był politykiem starej szkoły. Balfour mylił się lub się nie mylił, ale szczerej nagości swych imperialistycznych poglądów nie próbował nigdy osłaniać cynicznie figowym listkiem postępowości, lewicowości i socjalizmu. Inaczej komentator z organu Kingsley Martina, który, cytując Balfoura — niedwuznacznie sugeruje, że propozycja z 1916 r. byłaby wspaniałym rozwiązaniem sytuacji na dziś i sugestię tę chciałby ubarwić na postępowo, lewicowo i socjalistycznie.

Sugestie naszego nowego męża stanu są potrosze zabawne, a potrosze pożyteczne, bo wykazują, gdzie leży istota niektórych "dobrych rad". Ale jest aspekt tych sugestii, przeciw któremu musimy stanowczo zaprotestować. Są jeszcze ludzie, którzy "The New Statesman and Nation" czytają w przekonaniu, że reprezentuje on idee postępowe i socjalistyczne. Taka mistyfikacja jest zbrodnią wobec socjalistycznych bohaterów Wiednia, Madrytu i Warszawy, wobec wiekowego dorobku nowoczesnej myśli socjalistycznej i nowoczesnego ruchu robotniczego. Socjaliści polscy, braterskim sojuszem związani z międzynarodowym ruchem socjalistycznym, walczyć będą z całych sił przeciw propagandzie, której logiczną konsekwencją byłoby włączenie jednej części Europy do Niemiec, drugiej do Rosji; włączenie jednej części Azji do Japonii, drugiej do Imperium Brytyjskiego. Nie ma to nic wspólnego z socjalizmem; jest może postępem, ale na drodze do wojny, nie do pokoju; a dużego "statesmanship'u" też nie dowodzi.

DZIADY z KARABINEM

Nie sztuka postawić diagnozę, gdy wszystkie objawy choroby widać, jak na dłoni. Ale odczytać ją z nikłych, ledwie dostrzegalnych symptomów — to dopiero prawdziwa umiejętność:

Sądzimy właśnie, że możemy się już czymś poszczycić w tej dziedzinie. Na początku wojny, gdyśmy "zawierali" znajomość z armią Hitlera, cechowała ją swoista elegancja, polegająca na dobrze wypasionych gębach, lśniących butach, dobrze dopasowanych mundurach niemieckich żołnierzy. Dbałość o zachowanie wszędzie i w każdej okoliczności reprezentacyjnej postawy, chociaż śmieszyła prostacką, nonszalancką gburowatością, to nakazywała jednak wiarę w krzepkie zdrowie zdyscyplinowanej, utrzymywanej w doskonałym dobrobycie armii.

Teraz, u schyłku piątego roku wojny, cała ta reprezentatywność bierze w łeb. Coraz mniej są widoczne ślady troskliwych zabiegów o pełne brzuchy i wogóle o splendor szarozielonego niemieckiego mrowia, które rozpełzło się po całym świecie. Oto naprzykład nie żadne "Czubariki", czy inne narośle na hitlerowskim wojsku, ale najrdzenniejsi Niemcy w mundurach i z karabinami, którym polecono pilnowanie torów kolejowych, łażą po wsiach i skamlą: "Dużo chłop — wszystka głodna" i żebrzą o trochę kartofli, chleba, mleka, jaj. Istne dziady z karabinem.

Oto inni ich kamraci — dla odmiany siedząca w miasteczkach załoga — wynoszą z magazynów wojskowych, co się da: koce, buty, koszule — sprzedają za bezcen na prawo i na lewo "kazionne" dobro i zapijając się bimbrem, przygadują przy tym melancholijnie: "Alles kaput".

Zapewne podobne zjawiska obserwować mają zaszczyt i przyjemność nie tylko mieszkańcy Polski, ale i innych okupowanych krajów. Czyż nie są to charakterystyczne objawy zbliżającego się rozpadu całego niemieckiego organizmu. Trzeba się tylko zdobyć na odwagę postawienia diagnozy, a niedaleka przyszłość z pewnością potwierdzi jej trafność.

/"Robotnik" z dn. 4.VI.1944 r./

CÓRKA BERLINGA

"Robotnik", organ P.P.S. w Kraju donosi w numerze z dnia 18.VI.1944, że *córka Berlinga*, mieszkająca w Kielcach, przyjęła Volksdeutschostwo i wyszła za mąż za oficera niemieckiego.

Nie wiemy czy godna córka godnego ojca, uciekła razem ze swym mężem do Rzeszy, czy też połączyła ze swym ojcem, który zresztą oddawna popadł w niełaskę.

Świętego wyprowadzą z równowagi

Wspaniałe zwycięstwa Czerwonej Armii na wschodnim froncie nie poraz pierwszy budzą w świecie podziw i uznanie zarówno dla męstwa rosyjskiego żołnierza, jak i dla jakości sprzętu rosyjskiego, jak wkońcu dla niewątpliwego geniuszu rosyjskich dowódców. Co innego jednak podziw i uznanie dla rzeczy rzeczywistych, a co innego brednie, w które z rozmaitych powodów każą nam wierzyć i które mamy — nie wiadomo dlaczego-powtarzać pod groźbą oskarżenia, że jeśli nie wierzymy i nie powtarzamy, to jesteśmy "faszyści".

W związku z kampanią prasy sowieckiej, usiłującej zbagatelizować wysiłek wojenny na froncie zachodnim, "Tribune" przypomina:

"1. *Ofenzywa Rundstedta nie była ukąszeniem pchły. Prowadzona była* 10 *dywizjami pancernymi i* 16 *innymi t.j. siłami znaczniejszymi, niż kontratak Mansteina przed Kijowem w końcu* 1943 *r. Ofenzywa Rundstedta rozbiła plany Sprzymierzonych, a szybką poprawę sytuacji zawdzięczają Sprzymierzeni nadzwyczajnemu wysiłkowi i ofiarności żołnierzy i belgijskiej ludności cywilnej.*

2. *Porównywanie brytyjskiego i rosyjskiego wysiłku wojennego nie ma żadnego celu . . . Niemcy mają na froncie rosyjskim około* 150 *dywizji; na zachodnim froncie i w Italii około* 100 *dywizji. Ale* 2/3 *hitlerowskiej Luftwaffe i prawie cała obsada okrętów podwodnych są zaangażowane przeciw Zachodowi.*

3. *Rosjanie mają może* 300 *dywizji na froncie wschodnim i prawdopodobnie dalszych* 100 *w rezerwie. Ale zaledwie ułamek tej liczby ludzi mają oni w swym lotnictwie i marynarce, w porównaniu z analogiczną proporcją dla Brytyjczyków. Gdyby cała brytyjska marynarka i lotnictwo mogły się znaleźć w brytyjskich siłach lądowych, siły te wzrosłyby o około* 200 *dywizji — co stanowi ogromną sumę.*

. . . Klęska Niemiec jest rezultatem zbiorowego wysiłku. Należy wątpić, czy Rosjanie mogliby ją osiągnąć, bez pomocy Zachodu . . . Jednakże Rosjanie muszą zrozumieć, że my na Zachodzie nie wszyscy jesteśmy szkolnymi dziećmi. Jeśli czasem sceptycznie przyjmujemy rosyjskie dane i sprawozdania, to jest to nie tyle wynikiem złej woli, ile raczej rezultatem pewnej ekstrawagancji w pojmowaniu dokładności liczbowej przez sowieckie sprawozdania wojenne. N.p. jeśli podsumować rosyjskie dane oficjalne o niemieckich siłach, otrzyma się zawrotną sumę przeszło 9 *milionów zabitych i jeńców i około* 20 *milionów rannych. Jedyną naszą obroną przeciw takiej inflacji jest stały sceptycyzm. Moskwa winna wziąć to pod uwagę".*

DEPESZE

Premjer tow. Arciszewski otrzymał od oddziału im. Mireckiego w Ameryce depeszę następującą:

Obywatele amerykańscy zgromadzeni w mieście Salem, Mass., U.S.A., celem uczczenia 35-*tej rocznicy oddziału im. Mireckiego Związku Socjalistów Polskich w Salem uchwalili przesłać Wam, jako kierownikowi konstytucyjnego rządu polskiego, a także jako przywódcy Polskiej Partii Socjalistynej wyrazy najpełniejszego naszego uznania i serdecznego poparcia w Waszych wysiłkach w godzinie najcięższych prób Polski.*

Jan Grum — przewodniczący
Marciniak — sekretarz

Sekcja P.P.S. w Teheranie nadesłała na ręce tow. Arciszewskiego następujące pozdrowienia:

"*Składamy Wam najgorętsze pozdrowienia i życzenia najlepszych wyników w Jego ciężkiej pracy jako Szefa Rządu dla dobra Państwa i Narodu Polskiego.*

Jako członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej na terenie Teheranu, wyrażamy swe całkowite poparcie Rządowi utworzonemu przez Was życząc pełnego zrealizowania Jego programu".

Z Jerozolimy nadeszła następująca depesza od przebywających tam naszych towarzyszów:

Do Komitetu Zagranicznego P.P.S.

Serdeczne pozdrowienia w Nowym Roku 1945 *wraz z życzeniami pomyślnej i zwycięskiej pracy dla dobra Polski i narodu polskiego.*

Haluch, Jaroszewski, Pająk.

ROMAN BOSKI (ULTIMUS)

Refleksje, uwagi, reminiscencje

Dobry Niemiec

Jedynym dobrym Niemcem, który wraz z całym społeczeństwem brytyjskim oburza się i przeklina Niemców za wysyłanie nad Anglię bomb latających, jest Rudolf Hess.

Bismarck i Hitler

Hasłem kanclerza Bismarcka było "Los von Rom", hasłem kanclerza Hitlera w 1934 roku było "Los von Roehm".

Naród żyjący poezją

Persowie to naród o wielkiej przeszłości, o wielkim rozgardiaszu w teraźniejszości i o przyszłości wielce niepewnej. Zwłaszcza od czasu, kiedy północny sąsiad tego narodu zagwarantował mu suwerenność, nietykalność i t.p. piękne perspektywy, Persowie żyją w ustawicznym strachu.

Persowie mieli czterech naprawdę wielkich wieszczów i od wieków naród ten żyje i oddycha pozostawioną mu przez tych wielkich poetów puścizną.

Zamieszkały od szeregu lat w Teheranie inż. Henryk Goblot, prezes irańskiego oddziału "Francji Walczącej", a zarazem prawdziwy przyjaciel Polaków, który zanim zorganizowały się obozy uchodźców, sam codziennie dorożka przywoził banie mleka dla dzieci polskich, opowiada następujące zdarzenie:

Pracuje u niego jako służba domowa perska para małżeńska. Gdy pewnego razu służący udał się z pielgrzymką do jednego ze świętych miejsc szyitów, pozostała w domu żona zaprosiła do siebie przyjaciółkę, po czym zgłosiła się do pana Goblot z prośbą o wypożyczenie jej tomiku poezji Hafiza, które chce czytać z przyjaciółką. P. Goblot zaznaczył, że jakkolwiek długo mieszkał we Francji, nie zdarzyło mu się, by służąca prosiła o wypożyczenie jej poezji Berangera lub Musseta, a przypuszcza, że i w Polsce żadna "do wszystkiego" nie zaprzątała sobie głowy Słowackim.

Z okazji jakiejś rocznicy Firdusi'ego, autora Szach-Name /Księgi Królów/, odbyły się w rodzinnym mieście poety uroczyste obchody z udziałem wielotysięcznych tłumów przybyłych ze wszystkich krańców Iranu. Wśród przybyłych znalazł się robotnik, który z pamięci recytował dwa tysiące wierszy poety, a co najcharakterystyczniejsze, robotnik ten nie umiał ani czytać ani pisać. Poezja wielkich wieszczów jest w Persji ustnie przekazywana z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie.

Wreszcie scena, której sam byłem świadkiem przy ul. Bacharestan w pobliżu siedziby polskiego poselstwa. Było upalne południe, kiedy w Teheranie życie prawie zamiera. Na ulicy gdzieniegdzie rzadki przechodzień. Na rogu stał sprzedawca orzechów, pistacji, pestek i t.p. bakalii rozłożonych na okrągłym stoliku. Obok sprzedawcy jakiś może 12-letni chłopiec oparty o mur czytał mu coś z książki. Mimowoli rzuciłem okiem. Poezje, może Saadi, może Omar Chajjam. Na twarzach czytającego i słuchającego rozlana jakaś błogość, zachwyt nadziemski.

Naród żyjący poezją!

Dziki człowiek

Młody murzyn, który mi tu usługuje w Afryce Wschodniej, wie, że gdzieś na świecie toczy się wojna i że ludzie się wzajemnie zabijają. Wie tym bardziej, że wielu jego rodaków ze szczepu Kikuyu także ze śpiewem na tę wojnę wyruszyło, jadąc przez wielką wodę na Cejlon, a stamtąd do Burmy. Od niektórych przychodzą nawet listy pisane w języku Swahili, a niektórzy nawet przekazują pieniądze.

Zauważyłem, że gdy ten mój boy dostaje na obiad mięso, przeważnie beef, to długo i starannie przebiera widelcem, poszukując czegoś. Jestem święcie przekonany, iż dla niego nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż je on ludzkie mięso, a poszukuje odłamka szrapnela lub kuli ołowianej. Chodzi mu o to, by podczas jedzenia nie uszkodzić sobie naprawdę pięknych białych zębów.

W umyśle tego pierwotnego człowieka nie może się zmieścić inna przyczyna wojny, aniżeli ta, że ludzie są głodni i chcą jeść /w jezyku swahili-czakula/.

Wreszcie któregoś dnia oświadczył, **że nie będzie jadł mięsa. I nie je.** Prawdopodobnie sądzi, że w ten sposób przyśpieszy koniec wojny.

Zupełnie dziki człowiek!

O "Ozonie"

Jeszcze nigdy tak mało ludzi w tak krótkim czasie nie narobiło tyle złego.

Mussolini o pakcie R-M

Gdy do Mussoliniego doszła wiadomość o zawarciu paktu Ribbentropp — Mołotow, Duce westchnął melancholijnie:

"Ich sei — gewährt mir die Bitte — in eurem Bunde der dritte".

Masoni

Straszono w Polsce małe dzieci kominiarzem, chociaż każdy wie, że rzemiosło kominiarskie jest tak samo pożyteczne i potrzebne, jak szewckie, stolarskie lub ślusarskie.

Dorosłe dzieci straszono masonami. A żadne z tych dorosłych dzieci nie zapytało, co to właściwie są masoni i co oni złego Polsce lub narodowi polskiemu wyrządzili, tak samo, jak małe dzieci nigdy nie pytały, dlaczego i w jakim celu kominiarze porywają małe dzieci.

Masonami straszyli duże dzieci ci, którzy byli dumni z Konstytucji 3-go Maja i w każdą rocznicę tej Konstytucji ubierali się uroczyście, na czarno, kładli na głowę cylinder i wraz ze swoim cechem, bractwem lub konfraternią dumnie kroczyli przez ulice miast polskich, pod niebiosa zaś wynosili twórców Komisji Edukacji Narodowej.

Ale ci panowie z całą świadomością ukrywali przed dorosłymi dziećmi, licząc na ich naiwność i brak oczytania, że większość twórców Konstytucji 3-go Maja oraz większość członków Komisji Edukacji Narodowej byli to zdeklarowani masoni. Nie wyłączając księdza Stanisława Staszyca . . .

Wyraźnie — księdza.

A teraz posłuchajmy, czym naprawdę są masoni n.p. w tak trzeźwym kraju, jakim jest Ameryka. Zaglądamy do sierpniowego numeru "Nowej Polski" i oto, co czytamy w korespondencji Mieczysława Pruszyńskiego, pisanej przed wyborami prezydenta:

"*W Waszyngtonie najwspanialsze budynki po Kapitolu i Białym Domu — to loże masońskie. Nic dziwnego — od* 150 *lat elita inteligencji amerykańskiej zwykła grupować się w lożach. Przy wyborach prezydenckich związek lóż zgłasza zwykle desinteressement: tradycyjnie obaj kontrkandydaci bywają masonami. Tak było przy wyborach Roosevelt-Willkie, tak będzie przy wyborach najbliższych. Amerykańska ideologia masońska jako program polityczny wysuwa jawnie: rządy z wyboru obywateli, humanitaryzm, szanowanie praw człowieka, wolność krytyki rządzących przez rządzonych, legalizm. Realizując ten program, rządzący w ostatnich stu latach tak Kanadą, jak Stanami, masoni, twierdzą, że zapewnili tym krajom rozwój, szczęście, dobrobyt. Masoni nienawidzą: tyranów, dyktatur, rewolucji, zamachów stanu, rządów wojskowych, prześladowań opozycji politycznej, mniejszości religijnych i narodowych; obozów koncentracyjnych. Dlatego masoneria amerykańska zwalczała régime hitlerowski i sowiecki.*

"*Dziś obok Kościoła katolickiego masoneria jest najpoważniejszą siłą ideową, która na terenie Ameryki gra przeciwko Rosji sowieckiej. W konflikcie polsko-rosyjskim masoneria opowiada się i opowie za Polską, nie za Rosją, ale pod warunkiem, że Polska zerwie kategorycznie z przeszłością: z systemem rządów wojskowych, Brześcia, Berezy, zamachów stanu. Za Polską taką, jaka istniała przed* 1939 *r., masoni nie zamierzają bynajmniej kruszyć kopii".*

No i co na to nasz kołtuński Ciemnogród, nasza swojska, rodzima dulszczyzna? Może wojna Ameryce? Może "precz z Rooseveltem-masonem"? Może wykląć tych Polaków, którzy za nim głosowali?

Kiedyż nareszcie ustanie ogłupianie narodu polskiego?

Nieporozumienie na Kremlu

—Kak zawut etawo polskawo prezidienta w Liublinie?

—Bierut.

Eto, brat, ja znaju . . . Wsie oni w Liublinie bierut . . . No kak jewo familia?

Chochlik drukarski

Gdzieś przeczytałem wydrukowane "wierutne kłamstwo". Chyba chochlik drukarski; powinno być "bierutne kłamstwo".

Zmienione czasy

To było dawno . . . Za tamtego naszego życia . . . Przed nastaniem tułaczki . . . Za życia pełnego, w kulturze, w własnej państwowości . . .

Pewnego dnia ujęła mnie pod ramię koleżanka — dziennikarka z obozu prawicowego — nazwijmy ją panią Zofią — i w te zwróciła się do mnie słowa:

Znam pana nie od dzisiaj. Znam także wielu pańskich przyjaciół politycznych. Wiem, że wszyscy jesteście dobrymi Polakami. No, jesteście socjalistami, to wasza rzecz, ale co mnie u was razi, że waszym sztandarem jest czerwony sztandar, jak u *nich;* że mówicie do siebie "towarzyszu", jak *oni;* że świętujecie 1 Maja, jak *oni* i że, jak *oni*, śpiewacie "Międzynarodówkę". Czy nie możecie wyrzec się tego?

Odpowiedziałem: Droga pani Zofia, nie myśmy od nich to wszystko przejęli, lecz oni od nas. Jak ich wybitny pisarz sam to przyznał, kiedy myśmy byli już weteranami walk o wolność, oni dopiero byli, nowo zaciężnymi rekrutami i stawiali pierwsze kroki na drodze walki o wolność i wyzwolenie ludów i ludzi.

Od tego czasu wiele wody upłynęło w polskich rzekach, a jeszcze więcej najdroższej krwi wsiąkło w polską ziemię. Nie wiem, gdzie losy rzuciły panią Zofię, a gorąco pragnąłbym, by żyła i bym mógł ją jeszcze ujrzeć w Polsce.

Gdybym ją dziś spotkał, ująłbym ją pod ramię i powiedział:

—Droga pani, za sztandar swój uważasz pani biało-czerwony sztandar. Jak oni *tam;* ukochanym pani symbolem jest Orzeł Biały, jak u nich *tam;* Kościuszko jest twoim umiłowanym bohaterem narodowym i to samo *oni* mówią; i uważasz się za patriotkę, jak oni *tam.* Czy nie możesz się wyrzec tego wszystkiego?

Tak, czasy się bardzo zmieniły.

Dwie depesze

Dnia 3 października, po kapitulacji Warszawy, do Moskwy nadeszły dwie depesze. Jedna od Hitlera: "Józefie Wisarionowiczu, ja ci tego nigdy nie zapomnę". Druga — od dowodzącego wojskami sowieckimi na Pradze pod Warszawą: "L'ordre règne à Varsovie".

Wolni Rosjanie

W Rosji już są "wolni Polacy" "wolni Niemcy", a prawdopodobnie także "wolni Rumuni", "wolni Węgrzy" i t.d. Kiedyż doczekamy się wreszcie, że w Rosji będą także "wolni Rosjanie"?

Nominacja

Marszałek Woroszyłow zwolniony został ze stanowiska członka Rady Obrony Państwa, lecz dotychczas nie ogłoszono, jakie inne objął stanowisko.

Mówią, że został zastępcą marsz. Tuchaczewskiego.

Kolaboracjonista

Zaczęto wymierzać sprawiedliwość tym, którzy, nie będąc Niemcami, z własnej, nieprzymuszonej woli pomagali Niemcom w ich zbrodniczej działalności.

Takich zdrajców własnego kraju i własnego narodu nazywa się powszechnie kolaboracjonistami, ponieważ kolaborowali t.j. współpracowali z Hitlerem w zbrodniczej działalności. W Algierze już rozstrzelano ministra w rządzie Lavala, p. Pucheu, który gorliwie pomagał Niemcom w wywożeniu obywateli francuskich na roboty przymusowe do Niemiec.

W Charkowie rozstrzelano kilku gestapowców, a wraz z nimi jednego Rosjanina, który dzielnie im pomagał. W Krasnodarze rozstrzelano ośmiu obywateli sowieckich, a trzech skazano na długoterminowe ciężkie roboty za pomoc okazywaną sadystom niemieckim przy truciu chorych i dzieci w komorach gazowych.

Podobne procesy odbywają się we Francji, Belgji, Holandji i t.d.

Wszyscy na świecie ludzie, w których sercach nie zagasła jeszcze ostatnia iskierka ludzkości, domagają się przykładnego ukarania kolaboracjonistów bez względu na to, w jakiej postaci współpraca z Hitlerem się przejawiała.

Ktoś mi zadał następujące pytanie: Jeśli ktoś podczas najazdu Niemców na Polskę, a potym na Norwegię, na Holandię, na Belgię i na Francję, a jeszcze potym podczas Battle of Britain i długo później jeszcze zaopatrywał Hitlera w zboże, naftę i niezbędne do prowadzenia wojny surowce — to czy jest on kolaboracjonistą, czy nie?

Historia mistrzynią życia

/WEDŁUG KSIĄŻKI ANDRE MAUROIS "DISRAELI"/

W roku 1877 Europa była naładowana elektrycznością. Groziła wojna pomiędzy Rosją a Turcją, która to wojna mogła wciągnąć w swój wir także inne mocarstwa.

Premier W. Brytanii lord Beaconsfield /Disraeli/ w mowie wygłoszonej na dorocznym obiedzie wydanym przez lorda-majora Londynu w Guildhall powiedział m.in.:

"Jeśli Anglia przystępuje do wojny w słusznej sprawie, jeżeli spór toczy się o sprawy dotyczące jej wolności, jej niezawisłości lub jej Imperium — jej zasoby — ja to czuję — są niewyczerpane. To nie jest kraj, który rozpocząwszy kampanię musiałby postawić sobie pytanie, czy może on wytrzymać drugą lub trzecią kampanię. Rozpoczyna on wojnę, której dopóty nie kończy, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość".

Gdy wybuchła wojna pomiędzy Rosją a Turcją do Londynu przybył gen. Ignatiew celem zapewnienia so-

/Dokończenie obok/

POLACY w BERLINIE

/Z prasy krajowej/

W Berlinie pracuje dziś jeszcze około 30.000 robotników polskich, zatrudnionych głównie w fabrykach, a w miarę tego, jak co raz więcej fabryk zostaje unieruchomionych — Polacy przenoszeni są do drużyn kolejowych, poczty, usuwania skutków nalotów, służby o.p.l. Mimo stałego niebezpieczeństwa i ciągłych strat nastroje Polaków pozostają dobre. Mieszkają oni w osobnych barakach i otrzymują od Niemców skąpe i mało pożywne jedzenie. Polacy jednak wykazują szczególną zaradność. Nielegalny handel, w znacznej mierze wymienny, został wśród robotników cudzoziemskich opanowany wyraźnie przez Polaków. Na tej giełdzie żywności, odzieży i przedmiotów osobistego użytku trwa stale wielkie ożywienie i wielu Polaków przetrwało dotychczas jedynie przez korzystanie z tego rynku.

Refleksje, uwagi, reminiscencje

/Dokończenie/

bie neutralności Anglii. Postawiono Rosji trzy punkty. Ma ona uszanować nietykalność Dardaneli, Konstantynopola i Kanału Sueskiego.

Rosja zgodziła się i gdy został ogłoszony traktat zawarty pomiędzy zwycięską Rosją a pokonaną Turcją, okazało się, że trzy te warunki zostały dotrzymane. Pomimo to społeczeństwa angielskie osłupiało.

Według wszelkich zewnętrznych oznak — pisze Maurois — kanclerz rosyjski Gorczakow respektował dane przyrzeczenie: Konstantynopol, Dardanele i Suez pozostały wolne, ale wszystkie te pozycje zostały okrążone. Turcja utraciła wszystkie swe europejskie prowincje. Rosjanie utworzyli taką Bułgarię, która stać się miała ich wasalem i dać im dostęp do Morza Śródziemnego. W Armenii zajęli Rosjanie Kars i Batum, posuwając się w ten sposób ku Indiom i szachując Turcję azjatycką od tyłu.

Anglia jednym z tych wspaniałych odruchów opinii, który jednoczy ją w obliczu niebezpieczeństwa, stanęła za swoim premierem. Nie pójdzie ona na Kongres pokojowy, by dyskutować nad tego rodzaju dokumentem.

Lord Beaconsfield zachował zimny spokój. Uważał on traktat za niemożliwy do przyjęcia i poinformował Szuwałowa, ambasadora rosyjskiego w Londynie, że Anglia weźmie udział w Kongresie tylko po uprzednim, bezpośrednim anglo-rosyjskim uzgodnieniu najważniejszych punktów. Warunki jego były następujące: ani Wielkiej Bułgarii, ani rosyjskiej Armenii. Ambasador podskoczył: To byłoby pozbawieniem Rosji wszelkich owoców wojny . . ."

—To być może. — Na wszelki wypadek dał mu jednak premier do zrozumienia, że jeśli Anglia nie otrzyma zadośćuczynienia, zmusi ona Rosję do opuszczenia spornych terytoriów, choćby nawet przyszło do użycia siły.

Szuwałow odszedł zmieszany, ale sceptyczny . . . Lord Beaconsfield, to jeszcze nie Anglia.

Odbyło się posiedzenie rządu. Premier pragnął przygotować wszystko na wypadek wojny. "Jeżeli będziemy twardzi i zdecydowani, to będziemy mieli pokój i będziemy dyktowali Europie warunki tego pokoju". Lecz gotowość do wojny być musi. Zaproponował on powołanie rezerw, uzyskanie votum zaufania, wysłanie floty do Konstantynopola, a przede wszystkim, od chwili powstania zagadnienia obrony drogi do Indii, zażądał, by całe Imperium brało udział we własnej obronie i żeby wojska z Indii wysłano na Morze Śródziemne celem obsadzenia pozycji dominujących nad rosyjskimi drogami komunikacyjnymi, to znaczy obsadzenia Cypru i Aleksandretty.

Premier uzyskał aprobatę rządu z wyjątkiem lorda Derby, który ustąpił z rządu. Uważał on te kroki za mogące wywołać wojnę i uchylił się od odpowiedzialności. Nie bez żalu rozstał się Beaconsfield ze starym przyjacielem, ale rezygnację przyjął.

Tym razem Szuwałow przestraszył się. Ustąpienie lorda Derby było wymowne. Rosja za żadną cenę nie chciała wojny z Anglią. Była ona nadto osłabiona ostatnimi wojnami, nie miała floty, a ponadto wolała ona porozumienie z Beaconsfieldem, aniżeli z Bismarckiem.

Ambasador powrócił z koncesjami. Gorczakow ustąpił w sprawie Wielkiej Bułgarii, redukując jej obszar do połowy oraz wyrzekając się dostępu do morza, lecz stał twardo na punkcie rosyjskiej Armenii. Beaconsfield był nieugięty. A zatem wojna, chyba że Anglia otrzyma gwarancję utworzenia drugiego Gibraltaru we wschodniej części Morza Śródziemnego.

W tym momencie pękła bomba w postaci wiadomości, że wojska przywiezione w tajemnicy z Indii zaczęły ladować w Europie. Było to ostatecznym uderzeniem. Rosja wszystko zaakceptowała".

LUDZIE PODZIEMNI

ODBICIE WIĘŹNIÓW

25 minut

Nad miastem P. zapada wczesny zmrok styczniowy. Księżyc w pełni dźwiga się powoli nad dachy zasypane śniekiem, skrzące w 30 stopniowym mrozie. Zwodniczy półcień pada od parkanu okalającego gmach więzienia.

O tej porze dogasa posępny dzień więźniów. Strażnik — milicjant — wyda z kotła lurę kolacyjną, potem nastąpi apel, zmiana warty—i po beznadziejnym dniu—beznadziejna noc.

Beznadziejny dzień? . . . Dla 3 więźniów siedzących osobno w celach — nie: dzień najwyższego niepokoju i cierpliwego oczekiwania. Wszyscy trzej, skatowani w śledztwie, już wiedzą, że nadchodzi ratunek. Nie wiedzą jednak jak prędko, czy dziś? . . .

Czy nawet można wierzyć? . . . Miasto, gdzie tak niewielu jest rodaków. Gdzie stoi garnizonem i włóczy się po ulicach tysiące żołnierzy, milicjantów, kozaków, gdzie 200 zmotoryzowanych żandarmów upędza się pilnując szlaków, torów i przewodów. Więzienie okolone dwoma parkanami 3 i 5 metrowej wysokości, pilnowane przez kilkunastu milicjantów, przez posterunki na wieżach obserwacyjnych, oświetlane na noc latarniami. Tuż o 100 metr. koszary, o 400 metr. posterunek żandarmerii. . . . Czy można wierzyć?

Wszystko zdaje się mówić przeciw nadziei.

A tymczasem odsiecz jest już tak blisko. . . .

Grupa śmiałków przedarła się z dalekiego miasta, zdobyła samochód, ba . . . wzięła nawet do niewoli człowieka, który wiele wiedział o więzieniu i w strachu o życie udzielił wyjaśnień.

Dobiega godzina 5-ta, zmrok gęstnieje. I oto w ciemnym zaułku pojawia się grupka kilku osób.

Uliczka jest pusta, łączy główną arterię z ulicą równoległą zamkniętą dla ruchu.

Czekają parę sekund i nagle piąć się zaczynają na parkan. Śnieg głuszy odgłos skoków na dziedziniec zewnętrzny więzienia, na którym tylko budynek administracyjny świeci oświetlonymi oknami.

W tej samej chwili przed bramę zewnętrzną więzienia zajeżdża małe auto osobowe z podoficerem SS przy szoferze. Pukanie do bramy. Strażnik wygląda przez " judasza ". Otwiera spokojnie bramę. Auto wjeżdża na dziedziniec.

Zaledwie zamknęły się ciężkie wrota—znów pukanie. Strażnik odwraca się do okienka; nie słyszy, że z auta wysiada dwuch ludzi, którzy opierają mu o głowę . . .lufy pistoletów.

Przez uchyloną bramę wślizguje się jeszcze 2 ludzi.

—Prowadź do wewnętrznej bramy —pada rozkaz—milcz, a będziesz żył...

Przerażony strażnik rzuca rozpaczliwe spojrzenie na wieżę obserwacyjną, gdzie czuwa posterunek. Tamten jednak niczego się nie domyśla. Paląc papierosa, wygląda na ulicę, którą ze śpiewem przeciąga oddział wojska. Ten śpiew zupełnie zagłusza krótki, suchy trzask „Colta", (padł trupem strażnik) — dwa krótkie, suche wystrzały dochodzą z kancelarii więzienia (położono trupem stawiających opór Niemców, komendanta więzienia i jego zastępcę).

Gdy rzekomy podoficer SS z jednym towarzyszem idzie pod furtę wejściową, z kancelarii więzienia wymyka się parę cieniów, biegnących do wieży obserwacyjnej dominującej nad dziedzińcem... To druga grupa. Wpadają po schodkach na galerię. Nikogo tu nie ma. Posterunek staje tu dopiero o 18-tej. Zrzucają w dół na dziedziniec wewnętrzny długą linę z węzłami. Jeden po drugim bez szmeru spływają na tamtą stronę. Wartownia przy furcie jest już unieszkodliwiona.

Otwiera się furta. Wpada przez nią kilku ludzi z bronią w ręku. Do wartowni. Do kuchni.

Strażnicy nie mają czasu do namysłu. Po chwili leżą plackiem na podłodze pod błyskiem groźnych luf.

Jeszcze raz podoficer SS rozkazuje otworzyć drzwi. Już do gmachu więzienia. I znów — trzeci z rzędu strażnik, posłusznie spełnia rozkaz. Wydaje klucze od cel.

Cichy chrzęst zamków.

—No, doczekaliście się chłopcy . . . Teraz w nogi...

Z trzech cel wychodzą trzej napół rozebrani więźniowie. Już wiedzą . . . Nareszcie napewno. To naprawdę wolność. Zbrojna - w pistolety. Roześmiana radośnie.

Wyniesiono do bramy do auta tego, co miał złamaną nogę. Wyprowadzono i tych dwu, tak jak tamten skatowanych.

Przy aucie leży siedmiu ludzi. Sześciu żywych. To strażnicy. Nocna zmiana, wpuszczeni i sterorzyzowani. Siódmy — martwy oddźwierny zabity za próbę alarmu. Ci, co ich pilnują, niefrasobliwie wymyślają po rusińsku przez judasza chłopu, który coś przywiózł do więzienia i czeka pod bramą.

—Jedź do licha! Dziś nie wolno!...

W cieniu parkanu pojawia się gromadka wychodzących z furty wewnętrznej. Przy bramie skupiają się... Auto wyjeżdża w ciemną ulicę. Ledwo skręcilo — zbliża się z ulicy ciężarówka do której szybko wskakuje cala grupa. Wyroił się za nimi tłumek ze stu osób. Wypuszczeni z cel więźniowie: Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini.. Kolejno wpadają w noc i znikają. Czeka ich daleka droga. „Do lasu".

Jeszcze chwila: brama zatrzaskuje się cicho. Motor ciężarówki warczy zwycięsko. Hałas cichnie. Więzienie milczy, głucho. Strażnicy zamknięci w opuszczonych celach . . .

Dwa auta pędzą srebrną drogą. Któż je zgoni? Łączność miasta ze światem przerwana. O 17-tej wybuch zniszczył centralę telegraficzną i telefoniczną, przewody za miastem pozrywane, na szosie rozsypane kolce do zniszczenia opon samochodowych. Któż zatrzyma śmiałków i tych — z progu śmierci zwróconych rękoma wiernych towarzyszy broni? . . . Tylko następny rozkaz.

Tak odbito więźniów 18 stycznia o godz. 17—17,25. A pościg ruszył . . . nazajutrz, już o godz. 10-tej rano.

Medycyna konspiracyjna

Mury więzienne nie są tak nieprzeniknione jakby się zdawało. Ci, którzy muszą wiedzieć — wiedzą zawsze co się dzieje za kratami, za stalowymi drzwiami, za lufami niemieckiej straży.

W końcu marca 1943 z katowni lwowskiej "na Łąckiego" przeniknęła gdzie należało wiadomość o przesłaniu z Gestapo nowej listy więźniów przeznaczonych na śmierć, w liczbie 18. Wśród skazanych znajdowało się nazwisko żołnierza dobrze zasłużnego, którego strata byłaby dotkliwym ciosem dla Sprawy, a który od roku blisko więziony i katowany, dzielnym uporem i niezłomnym milczeniem przewlekał śledztwo policyjne aż do ostateczności.

Maltretowany, bezlitośnie bity, przyprawiony o utratę słuchu w jednym uchu, o złamanie żeber i uszkodzenie nerki, potrafił on nietylko zataić wszystko co wiedział, ale i pogmatwał oparte na niezbitych dowodach śledztwo do tego stopnia, że policja musiała dać za wygraną i długotrwałą "pracę' podsumować bezsilnie wściekłym wyrokiem śmierci.

Ten żołnierz musiał być ocalony.

Pozostawało bardzo niewiele czasu. W normalnym trybie w ciągu paru tygodni po wywiezieniu skazańca do Majdanka lub Oświęcimia, nadchodzi zawiadomienie o zgonie. Naturalnie nie o rozstrzelaniu, zagazowaniu, zatłuczeniu pałkami czy śmiertelnym zastrzyku w mięsień sercowy: poprostu o zgonie na skutek niedomogi serca. Trzeba było szybko działać.

Już nazajutrz więzień leżał w gorączce, niezdolny do chodzenia. Dwa bolesne zastrzyki zrobiły swoje. Komisja lekarska wydała skierowanie do szpitala więziennego na oddział zakaźnie chorych, a do innych więźniów postanowiła zastosować ostrożności kwarantannowe, 1-go kwietnia o godz. 6-ej chory był już w szpitalu, a nawet z całą dokładnością stracił przytomność. Przez 2 tygodnie odtąd "walczył ze śmiercią."

Właściwie nie on walczył. Do niego należało opanować nerwy, zachować zimną krew i czekać. Resztę zrobią wierni koledzy, ci co pracują na wolności.

Dwa tygodnie oczekiwania. Nadzieja i zwątpienie piszą łamany wykres tętna, obawa "komplikacji" wisi nad głową pacjenta nieustannie. Żadne zabiegi nie są jednak potrzebne, by chorego szybko postawić na nogi. Z za krat szpitala przychodzą tajemne recepty, przywracające mu siły cudownym sposobem.

Pierwsza: "Wiemy, wkrótce" nosi podpisy dwu "lekarzy", którym chory może ufać i wierzyć. Dalsze zawierają już precyzyjne zalecenia i środki zanim przyjdzie czas na operację.

Konsylium w liczbie 14 "łapiduchów" zbiera się ostatecznie 15-go kwietnia w godzinach wieczornych. W szpitalu więziennym odbywa się właśnie zmiana dyżurów, personel lekarski i pielęgniarki w komplecie, warta niemiecka na stanowisku.

Czterech " konsyliarzy" zostaje przed wejściem, dziesięciu z instrumentami wielostrzałowymi w garści opanowuje gmach szpitala.

Steroryzowany portier nie ma możności alarmowania. Niemcy w wartowni na II piętrze niczego się nie spodziewają.

Na widok wkraczającego oficera S. S. stają na baczność. Komendant warty jest na mieście. Jego podkomendni biedzą się wspólnie nad wręczonym im pismem od "Stadthauptmanna." Jest ono tak zredagowane, że wygląda na rebus lingwistyczny. Podczas gdy trwa rozwiązywanie tego rebusa, zamki karabinów warty zostają wyjęte, a każdy z wartowników, których jest 4-ech, ma za sobą wymierzony w plecy pistolet.

W chwilę potem hall II piętra wygląda jak pobojowisko. Warta, lekarze, siostry leżą pokotem na podłodze, powiązani sznurami. Siostra przełożona na korytarzu spoczywa obok swej sztucznej szczęki, którą zgubiła z wrażenia. Jeden z wartowników krwawi z rozbitego kolbą łba, drugi głośno skamle o litość.

Wśród chorych najwyższe napięcie. Słyszą podniesione głosy, rozkazy, tupot. Wstrząśnieci — oczekują wejścia policji. Czegóż mogą czekać "polityczni" w szpitalu więziennym?

Przez uchylone drzwi wkracza jednak potężny mężczyzna, wołając: "Gdzie jest Leszek?" i wymachując narzędziem, którego zazwyczaj w szpitalu nie używa się wcale.

" No, bracie — powiada na widok wezwanego — — wolny jesteś! Ubieraj się!" A do chorych: " Chłopcy! który się ruszy kula w łeb. Milczeć!"

Zjawia się paczka z ubraniem. Leszek ubiera się szybko.

Nikt jeszcze nie rozumie sytuacji. Siostra dyżurna przekonana, że chorego zabiera policja, żąda, aby zdał bieliznę szpitalną.

"Siostro, na korytarz. Padnij! . . ." — pada rozkaz.

Leszek jest gotów.

"Kto tu jeszcze polityczny? . . . Kto się czuje na siłach — zwiać! . . .

Głosy niedowierzania, obawy, soczyste przekleństwa Rosjanina, który nie może ruszyć się z łóżka. Z magazynu odzieżowego napływają ubrania cywilne. Nie minęło pół godziny, gdy szpital zaczął zię powoli opróżniać.

Leszka wyprowadzają z honorami. Jest tak osłabiony, że trzeba go prawie wlec. Podobnych pacjentów jest 25.

Na podłodze zostaje w szpitalu czterech konających ze strachu Niemców i 16 osób personelu, wszyscy w pętach. Dopiero po godzinie jeden z lekarzy zdołał zrzucić więzy, a warta po długim namyśle (wiać czy zostać?) zdecydowała się wysłać gońca do Gestapo. Meldunek brzmiał: "Banda bolszewicka, dysponująca samochodami pancernymi, wykradła chorych ze szpitala więziennego."

Wśród wykradzionych był . . . jeden Reichsdeutsch, skazany na śmierć, więzień polityczny, którego dwaj bracia zginęli w Dachau.

Wśród wykradających był . . . pilot angielski, wzięty do niewoli podczas bombardowania Bremy, który po ucieczce bardzo wiele zawdzięczał Leszkowi.

Z 25 zbiegłych więźniów 6 padło na ulicy bez przytomności /przeliczyli się z siłami/, 3 wolało wrócić do więzienia, 16 wymknęło się z miasta. Wszyscy — polityczni.

"Medycyna" konspiracyjna nie zawiodła w walce ze śmiercią.

66 z Jabłecznika

Więzienie okręgowe w Jabłeczniku pod Jasłem zamienili Niemcy w rodzaj twierdzy. Mury, kraty, parkany — zwykłe akcesoria więzienne — wzmocnili, obwarowali wszelkimi środkami ostrożności. Skoszarowane w pobliżu oddziały Schupo i żandarmerii miały gmach więzienia dzień i noc na oku. W przyległym budynku, mieszczącym centralę telefoniczną Wehrmachtu, dyżury trwały bez przerwy przez cała dobę, ochrona wojskowa nie spoczywała. Trzeba przyznać: Niemcy uczynili co mogli dla bezpieczeństwa więzienia.

Naprzeciw bramy więzienia ciągną się duże ogrody warzywne. Kompleks wielorakich grzęd i zagonów podzielony zdumiewająco bogato płotami i parkanami wszelkiej konstrukcji i z wszelkich materiałów. Druty kolczaste, naturalne żywopłoty, ogrodzenia siatkowe, drewniane ostrokoły. Możnaby mniemać że wszyscy złodzieje całej Małopolski czyhają na jabłecznickie ziemiopłody i badyle.

Tak przynajmniej wydawało się wyprawie, której celem było tą drogą dostać się do więzienia więźniów politycznych, wśród których była grupa towarzyszów broni.

Gdy noc zapadła (z 5 na 6 sierpnia) na dobre, zespół bojowy sforsował pierwsze przeszkody i dał nura w zielsko. Wielkokalibrowe pistolety i ręczne granaty obronne wymagają zawsze ostrożności, w tych warunkach zdecydowanie kłopotliwych. Cóż dopiero mówić o pistolecie maszynowym, taszczonym pieczołowicie poprzez piasczyste grzędy i gęste sploty naci, ba, nieraz poprzez drapieżne parkany . . .

Najkorzystniejsze pomidory drewnianymi tyczkami wskazywały drogę. Marchew gwarantowała najcichszą trasę. Buraki zachęcały ochronną barwą liścia. Przeprawa stawała się coraz bardziej urozmaiconą, w czym najsłabszą stroną były jednak owe diabelskie zasieki.

Od murów sterczącej przy ogrodach kamienicy pada gęsty cień. Tędy więc przeprawiono się w stronę więzienia. A trwało to wszystko — godzinę. Od 22-ej do 23-ej. Owo czołganie się po grzędach, tyranie w piasku, wycinanie dziur w płotach — wszystko bezszelestne, szybkie, zdecydowane . . .

Aż wreszcie ostatni parkan został przezwyciężony i oddział przyczaił się do ostatniego skoku.

O godzinie 23 minut 5 nadszedł sprzyjający moment. Brama więzienna otworzyła się by wypuścić odchodzącego ze służby strażnika. Trzy sekundy wystarczyły. Steroryzowany odźwierny odstąpił od wejścia. Reszta wyprawy dołączyła się momentalnie i brama zawarła się jak przedtem. Jeden tylko żołnierz został na proprzednim stanowisku jako obserwator. Pięciu zdobywało więzienie.

Z " oddziału " na " oddział " — cicho jak duchy — szli forsując kolejno wewnętrzne kraty.

Wszyscy strażnicy " oddziałów " dali się wywieść w pole. Lufy pistoletów miały później wystarczającą wymowę. Każdy z obezwładnionych wędrował posłusznie do ciemnicy.

Już zdawało się, że obejdzie się bez rozlewu krwi, bez hałasu. Ale oto strażnik Musiał, kat na więźniów politycznych, zaufany Gestapo, strażnik ten stawił opór. Padły strzały, stawiając na nogi wszystkich więźniów śpiących w celach.

Była to chwila straszliwego napięcia. Ale nie zmarnowano jej. Cała załoga więzienia była już unieszkodliwiona. Rzucono się tedy do cel, wypuszczając więźniów na korytarz.

Po otwarciu zbrojowni wydano zwolnionym żołnierzom broń. Stanęło 20 ludzi, 19 z karabinami, jeden z pistoletem. Tymczasem otwierano dalsze cele. Alarmu nie było słychać.

Czy tak cicho bije polska broń? Czy Niemcy spali tak twardo? Czy mury więzienia były tak grube? Dość że nietylko pobliskie posterunki niemieckie ale i obserwator z wieży więzienia nie usłyszeli wystrzałów. Jeden tylko — pozostały na zewnątrz — uczestnik zespołu przeżył ciężkie chwile, słycząc co się dzieje.

Zespoł bojowy rozgospodarował się teraz jak u siebie—w lesie. Każdy z 66 więźniów dostał po jednej parze spodni, po dwa koce, chleba ile kto zechciał, pieniądze na drogę, instrukcje i pouczenia. Mijała północ. . . .

Raniony strażnik Musiał dostał po chrześcijańsku prowizoryczny opatrunek, zanim sprowadzono go do ciemnicy. Przeprowadzono niezbędne rozmowy z więźniami. Wreszcie o pół do pierwszej nastąpił odmarsz.

I to jaki! Zwartym oddziałem. Straż przednia—10 chłopa z karabinami, dalej. . . . Dalej już nie wiadomo. Dość, że wychodząc wyprawa pozostawiła otworem wiele cel i bramę wejściową. Kto chciał mógł sie wynieść, i zapewne nie jeden się wyniósł.

Wkrótce potem ciemna noc i cienie leśne ogarnęły miłosiernie wyzwolonych, na długą, daleką drogę.

Nie było żadnych strat w czasie akcji, nie było i potem. Przez patrolowane drogi, przez pilnowane przejazdy i torowiska, przeszli wszyscy do swoich oddziałów, nie gubiąc ani jednego człowieka, ani jednej sztuki broni. Trzeba przyznać: nasi zrobili co było trzeba dla uniknięcia kłopotów.

Jakby mieli rzeczywiście (według relacji niemieckiej) liczną broń maszynową i 3 auta ciężarowe . . .

/Z "Polski Karzącej"/

Jaromir Nečas

30 stycznia r.b. zmarł we wsi Llantwit Major stary przewódca czeskich Socjalnych Demokratów, towarzysz Jaromir Nečas.

Tow. Nećas odgrywał dużą rolę w czeskiej S. D. i w życia politycznym Czechosłowacji. Był on przez długie lata zastępca przewodniczącego Partji. Przez długie lata był prywatnym sekretarzem wielkiego Prezydenta Czechosłowacji, T. G. Masaryka. Od 1924 do 1938 roku, t.j. do zagarnięcia Czechosłowacji przez Niemców, był członkiem Parlamentu z ramienia socjalistów. W ciężkich latach 1935—38 z ramienia swej partji był szłonkiem rządu, jako minister Opieki Społecznej. W tym czasie został wybrany Przewodniczącym Międzynarodowego Biura Pracy, którego członkiem był do końca swego życia.

Ciężko chory w ostatnich latach swego życia, nie zawsze był w stanie wpływać z powodzeniem na linię postępowania swoich towarzyszów partyjnych na emigracji. Ale sam, wierny swoim dobrym tradycjom socjalistycznym, był zawsze z tymi, których uważał za krzywdzonych przez silniejszych. Dał temu też wyraz niejednokrotnie na posiedzeniach Międz. Komitetu przy Labour Party, gdzie nie ukrywał swego stosunku do polityki siły, zapowiadanej dla Europy i dla Polski . . .

Pogrzeb odbył się w Krematorium w Cardiff bez żadnych przemówień, co się stało na wyraźne życzenie zmarłego.

Cześć Jego Pamięci!

* * *

Komitet Zagraniczny P.P.S. wysłał w związku ze zgonem tow. Néčasa następujący list do tow. Józefa Beliny:

"Drogi Towarzyszu!

Na Wasze ręce przesyłamy wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci tow. Néčasa. Ceniliśmy w Zmarłym, Towarzysza oddanego sprawie demokratycznego socjalizmu i umysł dla którego socjalizm był nie tylko przekonaniem politycznym, ale i światopoglądem. To też doceniamy stratę, jaką przez śmierć tow. Néčasa poniósł ruch socjalistyczny czechosłowacki i międzynarodowy. Przypadek sprawił, że list ten piszemy w dniu, w którym aktualne wydarzenie polityczne rzuciło nowy cień na wzajemne stosunki tak bliskich sobie narodów. Niech nam tedy wolno będzie, wspominając osobę tow. Néčasa wyrazić przekonanie, że wierność, dla ideałów demokratycznego socjalizmu jest i pozostanie drogą dla rzeczywistego zbratania naszych narodów.

Za Komitet Zagraniczny P.P.S.

J. Kwapiński

L. Grosfeld

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

W n-rze 27-ym "Robotnik" ukazała się notatka p.t. "Konsekwencje Działania Zbiorowego". Dotyczy ona najoczywiściej i naszej także działalności. Ceniąc wysoko kierunek ideologiczny, jaki Sz. Pan i pismo Jego reprezentują, uważamy za swój obowiązek wyjaśnić co następuje:

Piszą Panowie: "w szczególności drugorzędne znaczenie mają dla nas te wszystkie "Grupy Zagraniczne", które powstały na tle takich czy innych sporów emigracyjnych". Zapewne Panowie lepiej, niż my, pamiętają spory w obozie socjalistycznym, zarówno w kraju, jak za granicą, wynikłe niegdyś, przed uprzednią wojną światową, z różnicy między postawą niepodległościową Polskiej Partii Socjalistycznej wraz z jej organem "Robotnikiem", a stanowiskiem innych grup socjalistycznych, akceptujących wcielenie Polski do Rosji. Z tych to różnic wynikła ofiarność i dobra sława Panów wśród narodu polskiego i wszystkich ludzi wolność miłujących. Sądzę zatem, że ze zrozumieniem, a może nawet uznaniem "Robotnika" spotkać się winna postawa grup ludowych w kraju i za granicą, wyrosła nie "na tle takich czy innych sporów emigracyjnych", lecz tylko i jedynie z moralnego, prawnego i humanitarnego podłoża obrony całości granic Rzeczypospolitej, co pokrywa się z troską o wolność wszystkich jej obywateli, zagrożona przez imperializm sąsiadów oraz stanowisko kapitulacyjne pewnych grup społecznych.

W nadziei, że nie odmówi Pan Redaktor umieszczenia powyższych słów na łamach Jego cennego pisma, kreślę się z wysokim szacunkiem

Za Zarząd Grupy Zagranicznej Stronnictwa Ludowego

J. KUNCEWICZ

OD REDAKCJI: Umieszczając powyższy list zgodnie z zasadą *fair play*, dodajemy, że stanowisko nasze pozostaje niezmienione tak, jak je ujęliśmy w ostatnich słowach naszego artykułu: "Partnerem dla P.P.S. mogą być tylko władze autentyczne Stronnictwa Ludowego, t.zn. oparte o mandat otrzymany od ostatniego prawomocnego przedwojennego zjazdu stronnictwa oraz o mandat od podziemnego Stronnictwa Ludowego w Kraju".

Oświadczenie

W związku a artykułem "Pogrom lewicy" w numerze "Robotnika" z dnia 1 marca 1943, którym poczuł się dotknięty na honorze p. Józef Kisielewski, autor książki "Ziemia gromadzi prochy", a który to artykuł Sąd Koleżeński Związku Dziennikarzy uznał za niesłuszny i krzywdzący, — oświadczamy, że artykuł nasz był oceną polityczną książki publicysty, który w kilku kolejnych numerach "Myśli Polskiej", organu Stronnictwa Narodowego, ostro atakował P.P.S. Wyrażamy ubolewanie, że p. Kisielewski odczuł niektóre ustępy tego artykułu jako obrazę, gdyż nie było naszym zamiarem wyrządzanie p. Kisielewskiemu jakiejkolwiek krzywdy osobistej.

Printed by St. Clements Press, Ltd., Portugal Street, London, W.C.2.